

PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO

Obszerna rozprawa Natalii Paprockiej *Sto lat przekładów dla dzieci i młodzieży w Polsce. Francuska literatura dla młodych czytelników, jej polscy wydawcy i ich strategie (1918-2014)* (Paprocka, 2018) może być przykładem badań interdyscyplinarnych, coraz bardziej użytecznych w opisywaniu różnych zjawisk kulturowych. Autorka posłużyła się metodami badań z zakresu socjologii przekładu, przekładoznawstwa, księgoznawstwa czy też literaturoznawstwa. „Przedmiotem opracowania są losy francuskiej literatury dla dzieci i młodzieży obecnej za pośrednictwem przekładów w Polsce w ostatnim stuleciu (po 1918 r.), a jego celem – oszacowanie rozmiaru i kształtu, jaki przybierała ta literatura za sprawą polskich wydawców, a także refleksją nad przyczynami ich wyborów i nad sposobem, w jaki mogli postrzegać ją polscy czytelnicy na skutek podjętych decyzji” (s. [35]). Zasadnicza część publikacji poświęcona wyborom i strategiom wydawców polskich przekładów literatury dla młodych czytelników została poprzedzona opisem założeń metodologicznych oraz zarysem historycznym francuskiej książki dla dzieci i młodzieży w ostatnim stuleciu.

Interesującą ewolucję książki popularnonaukowej dla dzieci począwszy od wpływów oświeceniowego encyklopedyzmu w XVIII w. do szerokiego rozwoju form, gatunków, tematów w okresie po II wojnie światowej można prześledzić w publikacji Agnieszki Wandel *Przemiany współczesnej książki popularnonaukowej dla dzieci i młodzieży na przykładzie francuskiej oferty wydawniczej* (Wandel, 2019). Jak wskazuje tytuł, szczególną uwagę poświęciła autorka książce współczesnej z lat 1983-2012. Analizie poddano wielkość i strukturę rynku książki z tego okresu, jego segmentację, formy popularyzacji. Omówiono zjawisko krytyki i sposobów upowszechniania książki popularnonaukowej dla dzieci i młodzieży. Osobne rozdziały zostały poświęcone repertuarowi największych, francuskich wydawców, analizie formalnej i rzeczowej wydawanych książek oraz zarysowaniu najważniejszych kierunków w edytorstwie współczesnej książki popularnonaukowej dla dzieci i młodzieży.

Celem, jaki postawiła sobie autorka pracy *Książka popularnonaukowa dla dzieci i młodzieży w polskiej szkole w latach 1945-1989* (Staniów, 2018), było ukazanie sytuacji książki popularnonaukowej dla dzieci i młodzieży w latach 1945-1989 w Polsce z perspektywy szkoły. Charakterystyka polityki oświatowej w latach 1945-1989, analiza obecności książki popularnonaukowej w programach nauczania oraz w innych przepisach ministerialnych a także w bibliografiach zalecających zostały przedstawione w pierwszych czterech rozdziałach publikacji.

W kolejnych zaprezentowano miejsce książki popularnonaukowej w dydaktyce w oparciu o podręczniki i poradniki metodyczne oraz prasę metodyczną. Osobne rozdziały poświęciła autorka Państwowym Zakładom Wydawnictw Szkolnych, bibliotekom szkolnym, czytelnictwu literatury popularnonaukowej. Wyniki przeprowadzonych analiz dały niezbyt korzystny obraz opisywanej problematyki: „...podsumowując sytuację książki popularnonaukowej można stwierdzić, że było to dobro umiarkowanie obfite, z różnym efektem polecane do stosowania pedagogom, a jego potencjał został w dużej mierze niewykorzystany” (s. 251).

Będący na dość wczesnym etapie zaawansowania kierunek badawczy – badanie wpływu, został zastosowany w rozprawie Magdaleny Paul *Wpływ społeczny bibliotek publicznych. Badanie użytkowników w województwie mazowieckim* (Paul, 2018). Dwa pierwsze rozdziały, o charakterze teoretycznym, poświęcone zostały rozważaniom nad pojęciem wpływu społecznego oraz przedstawieniu stanu badań wpływu społecznego bibliotek publicznych na świecie i w Polsce. Problematykę metodologiczną zaprezentowała autorka w rozdziale trzecim. W rozdziale czwartym i piątym zostały przedstawione badania własne autorki dotyczące wpływu społecznego mazowieckich bibliotek publicznych w ujęciu jakościowym i ilościowym. „Wnioskiem ogólnym, jaki rysuje się na podstawie przeprowadzonego badania, jest stwierdzenie, że korzyści uzyskiwane dzięki bibliotekom służą budowaniu kapitału kulturowego i społecznego o wartości autotelicznej. Ze względu na obserwowane obecnie w Polsce nastawienie na realizację celów instrumentalnych (nie należy interpretować tego pejoratywnie, ale raczej jako określenie celów przekładalnych na inne formy kapitału w krótszej perspektywie), społeczne postrzeganie ich korzyści i ogólnie roli bibliotek może być natomiast ograniczone” (s. 180).

Według Henninga Lobina, autora książki *Marzenie Engelbarta. Czytanie i pisanie w świecie cyfrowym* (Lobin, 2017) za inicjatora rewolucji cyfrowej należy uznać Douglasa Engelbarta, amerykańskiego konstruktora komputerów, który jako pierwszy zaprezentował system online. „Prezentacja Engelbarta 9 grudnia 1968 r. po raz pierwszy pozwoliła ludziom uświadomić sobie, że dzięki połączeniu trzech elementów: integracji danych, automatyzacji i usieciowienia może powstać coś nowego – nie tylko kolejna innowacja technologiczna, lecz także odmienny kulturowy wymiar czynności czytania i pisania, odmienny model funkcjonowania języka pisanego i informacji” (s. 19). Książka, o eseistycznym charakterze, w zamierzeniu autora ma pozwolić na lepsze zrozumienie i sklasyfikowanie obserwowanych przemian kultury pisma. W kolejnych rozdziałach zostały opisane kulturowe techniki czytania i pisania, kultura pisma, cyfryzacja, nowe technologie czytania i pisania, zyski i straty związane z cyfryzacją w obszarze kultury pisma, zmiany w obrębie infrastruktury i instytucji kultury pisma. Jeden z rozdziałów poświęcony został ewolucji kultury w ujęciu memetyki. Wśród wielu interesujących konstatacji dotyczących np. cyfrowego czytania wymienić można: zagrożenie dla modelu lektury „wyłącznej”, opierającej się na pełnej koncentracji, przy tekstach wzbogaconych o komponenty multimedialne porzucanie modelu lektury linearnej, co może prowadzić do niezrozumienia złożonej argumentacji, jaką można sformułować tylko przy użyciu języka, czy też łatwość przeskakiwania do kolejnych tekstów, zwiększającą skłonność do zaniedbywania tekstu wyjściowego.

Po wielu latach od wydania w 1966 r. pierwszego tomu *Historii Biblioteki Jagiellońskiej*, obejmującego lata 1364-1775, ukazał się tom drugi, przedstawiający dzieje biblioteki w latach 1775-1918 (Frankowicz & al., 2017). Starannie wydana, oparta na szerokim materiale źródłowym publikacja jest efektem prac podjętych w 2012 r. w ramach projektu badawczego *Biblioteka Jagiellońska – opracowanie dziejów od 1775 do 1818 r.* Punktem wyjścia podziału zawartości tomu na węższe przedziały czasowe stały się ważne wydarzenia dziejowe oraz kadencje poszczególnych zwierzchników biblioteki. Część pierwsza *Biblioteka Jagiellońska w latach 1775-1835* obejmuje okres od reformy kołłątajowskiej do końca zarządu Jerzego Samuela Bandtkiego, część druga, lata 1836-1867, to okres dykcji Józefa Mucz-kowskiego, Franciszka Strońskiego i Adolfa Mułkowskiego. Wprowadzenie auto-nomii w zaborze austriackim, objęcie w 1868 r. dykcji przez Karola Estreichera a w 1905 r. przez Fryderyka Papéego, wyznaczają chronologię trzeciej części mo-nografii. Istotnym elementem opracowania jest pokazanie zaangażowania i de-terminacji ludzi związanych z biblioteką, dyrektorów, pracowników, wolontariu-szy, w utrzymaniu i rozwoju biblioteki, pracujących często w niezwykle trudnych warunkach materialnych, lokalowych, społeczno-politycznych.

Jubileuszowi stulecia powstania SBP towarzyszyła konferencja *Biblioteka wczora-j i... jutro. W setną rocznicę powstania Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich (1917-2017)* (Łódź, 27 września 2017 r.). W pokonferencyjnym tomie *Bibliotekarz, bibliote-ka, historia* (Wałkowski, 2018) materiały pogrupowano w czterech częściach. Część pierwsza *Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich jako moderator życia bibliotecznego* zawiera opracowania Magdaleny Kwiatkowskiej o ogniwach terenowych SBP w latach 1945-2017 oraz Iwony Kaczmarek o działalności Jana Augustyniaka, wy-bitnego działacza Związku a następnie Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich. Wśród szkiców i studiów najobszerniejszej, drugiej części książki – *Dzieje rozwoju bibliotek w Polsce na tle tendencji światowych* znalazły się artykuły o roli przypisywanej książce przez średniowiecznych kronikarzy (Katarzyna Chmielewska), księgach kucharskich z terenu państwa Zakonu Krzyżackiego w Prusach (Joanna Elżbieta Śliczyńska) czy też bibliotekach wrocławskich w okresie zaborów (Bernardeta Iwańska-Cieślik). W części trzeciej, poświęconej zawodowi bibliotekarza, m.in. Marzena Kowalska opisała nowe wyzwania podjęte przez bibliotekarzy Bi-blioteki Uniwersytetu Łódzkiego w związku z powstaniem nowoczesnego gma-chu biblioteki. Część czwarta, poświęcona budownictwu bibliotecznemu, zawiera artykuł Zdzisława Kropidłowskiego opisujący obiekty uznane w konkursach IFLA za najlepsze biblioteki świata.

Dynamiczny rozwój tematyki marketingu i zarządzania w obszarze bibliote-koznawstwa i informacji naukowej skłonił autorki *Leksykonu zarządzania i mar-кетинgu w bibliotekoznawstwie* (Wojciechowska & al., 2019) do próby jej uporząd-kowania pod względem terminologicznym. W *Leksykonie* znalazło się ponad 600 terminów z zakresu marketingu i zarządzania, mających zastosowanie w teorii i w praktyce bibliotekoznawstwa i informacji naukowej. Ułożone alfabetycznie hasła zawierają także odpowiedniki w języku angielskim, odsyłacze, literaturę przedmiotu.

Problematykę wykorzystania metod ewaluacji w tworzeniu użytecznych inter-fejsów użytkownika podjął Paweł Marzec w publikacji o charakterze instruktażo-wym zatytułowanej *Oceny eksperckie w badaniu użyteczności bibliotecznych serwisów*

internetowych (Marzec, 2019). Wśród metod ewaluacji interfejsów użytkowników są, opracowane na gruncie dyscypliny HCI (human-computer interaction), oceny eksperckie. Autor zaprezentował następujące metody eksperckie: listy kontrolne, ocenę heurystyczną, wędrowkę poznawczą. Każdy z rozdziałów – poświęcony jednej z metod – zawiera przykłady jej zastosowania w badaniach serwisów internetowych bibliotek.

Zbiór artykułów *Od armarium do kolekcji cyfrowej. Ochrona zbiorów bibliotecznych* (Nowicki, red. 2018) zawiera dziewięć tekstów, głównie autorstwa uczestników II Ogólnopolskiej Konferencji Naukowej *Ochrona zbiorów bibliotecznych. Przeszłość – Teraźniejszość – Przyszłość*, która odbyła się w Bydgoszczy 17 i 18 maja 2018 r. Tytułowe „armarium” pojawia się w artykule Rafała Werszlera *Armaria – sprzętowe rozwiązania zabezpieczeń księgozbiorów*, rozpoczynającym część pierwszą zbioru zatytułowaną *Przeszłość*. Wśród innych artykułów części pierwszej wymienić można opis kondycji zbiorów pozakonnych w świetle relacji Bogumiła Lindego z 1819 r. (Tomasz Stolarczyk) i tekst o Bonawenturze Lenarcie, wybitnym restauratorze i konserwatorze papieru i grafiki (Dorota Pietrzakiewicz). Część druga *Teraźniejszość i Przyszłość* zawiera m.in. artykuł Pawła Fiszera i Radosława Michalskiego *Zdigitalizowane zbiory druków ulotnych Biblioteki Uniwersytetu Łódzkiego jako forma ich zabezpieczenia i promocji*.

Pałac w Podhorcach, obecnie na terenie Ukrainy, to jedna z najwspanialszych rezydencji magnackich I Rzeczypospolitej. Rozprawa Katarzyny Paduch *Biblioteka rodowa Rzewuskich h. Krzywda w Podhorcach od I połowy XVIII wieku do 1865 roku* (Paduch, 2018), oparta na szeroko zakrojonych badaniach w archiwach, bibliotekach, muzeach, ukazuje niezbadane dotąd dzieje magnackiej rodowej biblioteki w Podhorcach w XVIII i XIX w. W kolejnych rozdziałach książki autorka przedstawiła zarys historii pałacu w Podhorcach, charakterystykę inwentarzy, katalogów i spisów ksiąg biblioteki podhoreckiej z XVIII i XIX wieku, omówiła organizację i funkcjonowanie biblioteki, dokonała charakterystyki treściowej księgozbioru. Na profil biblioteki w Podhorcach wpłynęły zainteresowania kolejnych przedstawicieli rodziny Rzewuskich, ich pasje bibliofilskie, wykształcenie a także sprawowane przez nich urzędy.

KSIĄŻKI OMÓWIONE

- Frankowicz, Krzysztof & al. (2017). *Historia Biblioteki Jagiellońskiej. T. 2, 1775-1918*. Kraków: Wydaw. Uniwersytetu Jagiellońskiego, 573 s., il. ISBN 978-83-233-4313-4.
- Lobin, Henning (2017). *Marzenia Engelbarta. Czytanie i pisanie w świecie cyfrowym*. Przeł. Łukasz Musiał. Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy, 368 s. Biblioteka Myśli Współczesnej. ISBN 978-83-060-3410-3.
- Marzec, Paweł (2019). *Oceny eksperckie w badaniu użyteczności bibliotecznych serwisów internetowych*. Toruń: Wydaw. Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, 196 s., il. ISBN 978-83-231-4125-9.
- Nowicki, Ryszard, red. (2018). *Od armarium do kolekcji cyfrowej. Ochrona zbiorów bibliotecznych*. Bydgoszcz: Wydaw. Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego, 167 s., il. ISBN 978-83-8018-227-1.
- Paduch, Katarzyna (2018). *Biblioteka rodowa Rzewuskich h. Krzywda w Podhorcach od I połowy*

- XVIII wieku do 1865 roku. Kraków: Wydaw. Instytutu Teologicznego Księży Misjonarzy, 321 s., il. ISBN. 978-83-7869-390-1.
- Paprocka, Natalia (2018). *Sto lat przekładów dla dzieci i młodzieży w Polsce. Francuska literatura dla młodych czytelników, jej polscy wydawcy i ich strategie (1918-2014)*. Kraków: Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych „Universitas”, 416 s., il. ISBN 978-83-242-3457-8.
- Paul, Magdalena (2018). *Wpływ społeczny bibliotek publicznych. Badanie użytkowników bibliotek w województwie mazowieckim*. Warszawa: Grupa Cogito Sp. z o. o., 303 s., il. ISBN 978-83-85534-99-0.
- Staniów, Bogumiła (2018). *Książka popularnonaukowa dla dzieci i młodzieży w polskiej szkole w latach 1945-1989. Zalecenia i rzeczywistość. Studia i szkice*. Warszawa: Wydaw. Naukowe i Edukacyjne SBP, 285 s., il. Nauka, Dydaktyka, Praktyka; 186. ISBN 978-83-65741-22-6.
- Wałkowski, Andrzej (2018). *Bibliotekarz, biblioteka, historia. Materiały pokonferencyjne z okazji setnej rocznicy powstania Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich*. Warszawa: Wydaw. Naukowe i Edukacyjne SBP, 281 s., il. Propozycje i Materiały; 99. ISBN 978-83-65741-15-8.
- Wandel, Agnieszka (2019). *Przemiany współczesnej książki popularnonaukowej dla dzieci i młodzieży na przykładzie francuskiej oferty wydawniczej*. Kraków: Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych „Universitas”, 352 s., il. ISBN 978-83-242-3509-4.
- Wojciechowska, Maja; Kamińska, Joanna; Żołędowska-Król, Beata; Jaskowska, Bożena, współudz. (2019). *Leksykon zarządzania i marketingu w bibliotekoznawstwie*. Warszawa: Wydaw. Naukowe i Edukacyjne SBP, 291 s., il., Nauka, Dydaktyka, Praktyka; 187. ISBN 978-83-65741-17-2.

Barbara Koryś

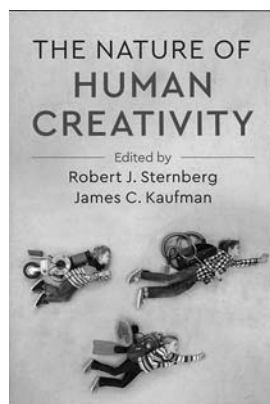
Tekst wpłynął do Redakcji 16 maja 2019 r.

Z LEKTUR ZAGRANICZNYCH

Staram się przeważnie sygnalizować tutaj książkowe publikacje z zakresu wiedzy o bibliotekarstwie oraz dyscyplin pobliskich, możliwie najlepsze, a przynajmniej ciekawe. Co łatwe nie jest, bo obniżenie jakości doniesień z obszaru nauk humanistycznych i społecznych rzuca się w oczy – żeby już nie biadolić nad stanem piśmiennictwa bibliotekoznawczego oraz informatologicznego. Ceny książek naukowych na świecie nieprzyzwoicie rosną, mimo że wydawcy nie chcą autorom płacić honorariów, a jakość treściowa zjeżdża w dół jak na torze saneczkowym.

Ponieważ jednak te omówienia mają charakter nie tylko doniesieniowy, lecz i przeglądowy, próbuję od czasu do czasu rzucić okiem na „produkty” w kilku krajach i w różnych językach, kryteria jakościowe traktując wtedy liberalnie. No i tym razem tak właśnie jest.

Niestety, natychmiast obniża się poziom tego, co sygnalizuję. I wprawdzie z kilku książek nie generuje się jeszcze pełna panorama zagranicznego piśmiennictwa naukowego, ale opinia jakościowego dołka znajduje potwierdzenie. O tym też warto wiedzieć.



O KREATYWNOŚCI [*****]

The Nature of Human Creativity. Ed. Robert J. Sternberg, James C. Kaufman. Cambridge: Cambridge University Press, 2018, 392 s. ISBN 978-1-316-64902-2

Przed dwoma laty ukazał się rewelacyjny tom zbiorowy, prezentujący obecny stan wiedzy neopsychologicznej – który zresztą tutaj sygnalizowałem¹. Trójce inicjatorów i redaktorów przewodził światowej sławy psycholog, prof. Robert J. Sternberg (Cornell University). Obecnie, w towarzystwie równie znanego prof. Jamesa C. Kaufmana (Connecticut University), przedstawił wieloautorski zbiór wypowiedzi na temat kreatywności.

Ciekawych i ważnych, również dla naszej profesji, bo w końcu kreatywność wyznacza szanse rozwoju. Jednak całościowo ten tom jest nieco słabszy. Zawiniły dwie przesłanki.

Mianowicie alfabetyczny (według nazwisk autorów) układ tekstów, przez co żadnej logicznej ciągłości wyvodu nie ma. Trzeba skakać z tematu na temat, jak pszczołka z kwiatka na kwiatek. Oraz (ukryta) dyrektywa dla autorów, żeby opisali też własne dochodzenie do wysokiej kreatywności. Z tego zrodziły się bowiem relacje czysto życiorysowe oraz anegdotki, zamulające refleksje. Zasygnalizuję więc tylko niektóre wypowiedzi i to w jakimś możliwie logicznym ciągu: innym niż w książce.

Ale sam problem jest doniosły i w sumie interesująco zreferowany. Rzecz w tym, że kreatywność była dotychczas utożsamiana z inteligencją i wiedzą, tymczasem już od szeregu lat psychologia rozpatruje ją jako cechę autonomiczną – z cechami innymi skojarzoną tylko częściowo. Echa tych roztrząsań dotarły już również do obszaru bibliotekoznawczo-informatologicznego², ale śladowo i nie zostały dostrzeżone szerzej. A przecież powinny.

Obaj sprawcy tomu przyznają, że nie ma pełnej zgody psychologów co do tego, czym kreatywność właściwie jest. Uchodzi za zdolność wrodzoną, jednak trzeba ją w sobie (albo u kogoś) odkryć, a potem rozwijać. Dlatego jedni są bardziej kreatywni a inni mniej. Najszybciej intensyfikuje się w wieku dziecięcym (w bibliotekach dla dzieci, to ważne), na starość zaś okazuje się mniej produktywna, ale całkowicie nie zanika.

W książce kilku innych autorów utożsamia ją z tworzeniem nowych, wartościowych i użytecznych, wysokiej klasy rozwiązań problemów ważnych. Ale niektórzy dostrzegają także minikreatywność w codzienności.

Prof. Adrian Furnham (University College London) uważa, że kreatywność występuje obok inteligencji oraz osobowości, chociaż w powiązaniu – w sumie więc sytuuje się inaczej niż dotychczas sądzono. Jest na pewno wrodzona i rozwijana przez sprawstwo wewnętrzne, zwłaszcza przez satysfakcję (z odkrywania

¹ *Scientists Making a Difference*. Ed. Robert J. Sternberg, Susan F. Fiske, Donald J. Foss. Cambridge: Cambridge University Press, 2016 – rec. „Przegląd Biblioteczny” 2017, nr 2, s. 228-233.

² J. Jakušova: *Kreativita ako jedna z kľúčových kompetencií vedeckich pracovníkov*. „Knižničná a informačná veda” T. XXV, Bratislava: Univerzita Komenského v Bratislave, 2014, s. 103-118.

nowego). Natomiast motywacje zewnętrzne (np. płaca) mają wpływ minimalny lub nawet zerowy. Bądź jeszcze inaczej: brak motywacji zewnętrznej bywa demotywujący. Furnham dopowiada też, że istnieje niejaka korelacja pomiędzy kreatywnością a schizotypią (skłonność do izolacji i dziwactw), ale nie przesadzałbym z takimi wnioskami. Nie jest prawdą, że każdy prawdziwy uczony to bzik.

Natomiast trzeba pamiętać o zróżnicowaniu wariantów kreatywności. Częściej występuje jako skłonność do adaptacji, więc do poprawiania tego, co już jest. Wyższy stopień, ale spotykany znacznie rzadziej, przejawia się w innowacjach, czyli w tworzeniu czegoś nowego od zera. Furnham, tak jak inni znawcy, również zalicza kreatywność do cech wrodzonych, zatem nauczyć się jej nie ma jak, ale – sygnalizuje – można i trzeba odblokować ją oraz rozwijać.

Z kolei prof. Paul Silvia (The University of North Carolina at Greensboro), próbuje opisać, jak to działa. Otóż istotą jest odrzucenie myśli błędnych, a zachowanie pozytywnych (nie wyjaśnia jak to zrobić) – przy spontanicznej (wrodzonej) zdolności myślenia dywergencyjnego, czyli wielokierunkowo rozproszonego. Jednak uporządkowane, intencjonalne myślenie konwergencyjne jest również konieczne, bo dopiero razem stają się podstawą kreatywności. Taki „ożenek” obu trybów myślenia zdarza się niezmiernie rzadko. Ale czasami występuje i osoby o takich właśnie predyspozycjach trzeba koniecznie odkrywać. Na wszelki wypadek dopowiem, że w bibliotekarstwie też! Sprzyja zaś takiemu rozumowaniu tzw. płynna inteligencja (*fluid intelligence*), czyli zdolność dostrzegania relacji złożonych.

Prof. Silvia dopowiada jeszcze, że kreatywności sprzyja też poznanie samego siebie, a to osiąga się bardzo skutecznie za sprawą... pisania!! Bo właśnie ta czynność ma charakter poniekąd „mieszania w kociołku własnej wiedzy” i służy wydobywaniu refleksji oraz autorefleksji – czyli „kąsków najsmakowitszych”. Coś w tym jest i dla bibliotecznej praktyki da się z tego wyciągnąć kilka ważnych wniosków. Zwłaszcza, że mowa jest o pisaniu, a nie o klikaniu.

Prof. Teresa Amabile (Harvard Business School), nie negując wrodzonego charakteru kreatywności, skupia się jednak głównie na czynnikach, które uważa za sprzyjające intensyfikacji kreatywnych praktyk, a także za destrukcyjne wobec nich. Z generalną opinią, że cały rozwój indywidualny oraz społeczny opiera się na kreatywności właśnie. Która nie jest li tylko wytworem geniuszu (miewa wszak przejawy na niższych poziomach), oraz może być źródłem nie tylko pożytku, ale także zła. W każdym razie przynajmniej częściowo poddaje się regulacji, poprzez stwarzanie okoliczności sprzyjających.

W ich rejestrze mieści się ważność zadania/problemu i klarowny sens, dostosowanie narzędzi, sprawna organizacja wykonawstwa, zaawansowany stopień indywidualnej autonomii, zaś w działaniu zbiorowym: dobrze zestawiona grupa wykonawców i mądry, wspierający lider. O tym warto wiedzieć, aranżując w bibliotekach działania grupowe, szczególnie dla dzieci i młodzieży. Natomiast demotywuje ogólny bałagan i autokratyczny styl prowadzenia zajęć.

Prof. Robert Sternberg w odrębnym szkicu zwraca uwagę na konieczność odróżniania kreatywności autentycznej, a więc efektywnej, od pleniącej się pseudokreatywności, która jest bezproduktywna i głupia, a nierzadko wręcz niebezpieczna. Samo rozróżnienie nie jest zresztą łatwe, trudno bowiem odciąć się od stereotypów i przyzwyczajęń, a właśnie na nich pozoranci kreatywności bazują

najchętniej. Poza tym, w codziennej rzeczywistości mamy do czynienia głównie z osobami, dającymi sobie radę w praktyce, ale bez cienia innowacyjności, bądź zdolnymi tylko do minikreatywności drobnej. Natomiast kreatywność rzeczywista, czyli autentycznie produktywna i to w obszarze dokonań ważnych, należy do rzadkości. Zatem nie zawsze daje się wykrywać.

Prof. Beth A. Hennessey (Wellesley College – Massachusetts) odnosi się do szkolnych okoliczności pobudzania – lub nie – kreatywności w ważnym okresie indywidualnego rozwoju. Uważa, że szkoła zawsze zabijała kreatywność i dopiero od niedawna, tu i ówdzie, próbuje się zmieniać reguły kształcenia, nastawiając je na pobudzanie twórczej postawy, poprzez przyjemność i satysfakcję z dokonań.

Potwierdzając (jak wszyscy) wrodzoną proweniencję kreatywności, uważa jednak (tak jak niektórzy), że są czynniki rozwijające w trakcie zajęć ten rodzaj aktywności. Mianowicie: problematyka naprawdę uczniów interesująca, eksperymentowanie z pomysłami, trudne problemy oraz pytania, a także układająca się dobrze współpraca grupowa. Z kolei tłumi kreatywność: odczuwalny nadzór, obiecana lub spodziewana nagroda(!), współzawodnictwo(!), oraz ograniczenie czasowe. Chyba nie tylko dla mnie jest to opinia zaskakująca.

Dlatego nie wierzę w takie zmiany szkolnej dydaktyki, żeby te negatywne czynniki dało się usunąć całkowicie. Ale można to zrobić ewentualnie w ramach bibliotecznej oferty dla dzieci i młodzieży. Przedsięwzięcia grupowe to pomysł dobry, byle – jak widać – dotyczyły czegoś ważnego, oraz odbywały się bez ocen, dyplomów, a także (generalnie) bez nagradzania.

Z kolei na temat postrzegania i waloryzacji kreatywności wypowiada się prof. Gregory J. Feist (San Jose University). Otóż jego zdaniem, kreatywni artyści to przeważnie ekstrawertycy, otwarci na otoczenie i na doświadczenia, jakkolwiek z zasady bałaganiarze. Zaś kreatywni profesorowie to zwykle introwertycy (wypraszam sobie!), aroganccy i nieprzychylni. Przy czym u jednych i drugich okresy intelektualnej produktywności falują.

Do dłuższych okresów dysfunkcji kreatywnej – bywa, że w życiu kilkakrotnych – przynajmniej 83% artystów, 60% profesorów, podczas gdy (dla porównania) tylko 46% osób „zwykłych”. Jej przejawy to depresja i wściekłość, a w intensywnej wersji: alkoholizm i/lub narkomania.

Na temat standardowych, biurokratycznych ocen kreatywności naukowej (tzw. punktozy oraz hirschozy) Feist ma zdanie sceptyczne. Odróżnia wprawdzie naukową produktywność, czyli sumę publikacji, od wpływu, charakteryzowanego przez liczbę cytowań, ale entuzjazmu dla tych formuł nie wyraża. A w proponowanej przez niego typologii pracowników nauki doszukałbym się raczej złośliwości. No bo proszę rzucić okiem.

Pracownik nauki:

- płodny: publikuje dużo i jest cytowany licznie,
- masowy: dużo publikuje, ale cytowany nie jest,
- perfekcyjny: publikuje niewiele, jest natomiast licznie cytowany,
- milczący: mało publikuje i cytowany nie jest.

Wypada powiedzieć: hm.

Ogólnie zaś o kreatywności, we wstępie do tomu (co ja przeniosłem do konkluzji) pisze wybitny psycholog prof. Mihály Csíkszentmihályi (Claremont Graduate School). Uważa kreatywność za fundament przyszłości i stąd wynika rozległe

zainteresowanie nią w ostatnich latach. Niestety, w aspekcie neuronauki wciąż wiadomo na ten temat mniej, niż należy.

Nie ulega jednak wątpliwości, że ma na nią rozwijający wpływ, określony tryb edukacji. Jeśli (o czym była tu już mowa) sprzyja myśleniu dywergencyjnemu, więc różnorodnemu, to bezdyskusyjnie jest prokreatywna. Natomiast zmierzając do konwergencji, czyli do zapamiętywania i myślenia standardowego, produktywną kreatywność zdecydowanie uziera. A takie jest przecież – w ogólności – kształcenie; szkolne i nie tylko szkolne. Jeśli zatem można je uprawiać inaczej akurat w bibliotecznym praktyce, to koniecznie trzeba.



WIARYGODNOŚĆ W KOMUNIKACJI [***]

Rachel Botsmanová: *Komu se dá věřit? Jak nás technologie sblížily a proč by nás mohly rozeštvát*. Przeł. z ang. na czeski Jiri Petru. Brno: Host, 2018, 365 s. ISBN 978-80-7577-599-3.

W praktyce komunikacji publicznej, nie tylko informacyjnej, zatem i w ogóle w życiu, jedną z fundamentalnych kategorii jest zaufanie do transmitowanych treści – w obecnych okolicznościach jeszcze bardziej doniosłe niż dawniej, ze względu na powszechny zasięg komunikowania publicznego. Dla bibliotekarstwa zaś generuje się stąd wymóg wiarygodności, szczególnie w zakresie oferty informacyjnej. Tak jest też nie od wczoraj, ale dzisiaj spełnienie takiego warunku bywa bardzo trudne, a czasem wręcz niemożliwe.

Oto jeden z klasycznych produktów bibliotecznych, mianowicie bibliografia, zawsze podlegała kryteriom wiarygodności oraz kompletności. Teraz jednak warunek kompletności jest często niemożliwy do spełnienia, baza treści referowanych nie podlega bowiem stagnacji: jest płynna. Zmienia się nieustannie i trzeba na to reagować. Oczywiście, zaufanie to kategoria powszechna, kojarzona nie tylko z bibliotekami – ale naszej działalności dotyczy również. Z czego wynikają liczne kłopoty: w ogóle w życiu i w bibliotekarstwie też.

W ujęciu globalnym, zajmuje się tym problemem m.in. Rachel Botsman z uniwersytetu w Oksfordzie – przykuwając uwagę licznymi publikacjami w masowej prasie i wystąpieniami w telewizji, w czym pomocny jest frapujący sposób wypowiedzi. Od razu dopowiem, że są to manifestacje głównie popularne bądź esejistyczne, tylko częściowo podwiązane pod naukowy tryb referencji. Ale ważne i poważne – jakkolwiek może nie w stu procentach.

Na jej książkę o kryzysie zaufania – w oryginale *Who Can You Trust?* (London: Penguin Books, 2017) – natrafiłem z niewielkim opóźnieniem i w... przekładzie czeskim. Ale to żaden mankament. Tyle tylko, że nazwisko autorki zostało lekko (po czesku) znieskształcone.

Sam wywód wydał mi się godny uwagi, a i podstawowe konkluzje też, natomiast tryb narracji uważam za nieznośny. Przeważa bowiem egzemplifikacyjna fabularyzacja, anegdotki ścigają się z pogaduszkami, niekoniecznie służąc refleksji. Mówiąc bez ogródek: gadulstwo wbija w fotel. Oraz jest też garść bania-

luk. Jednak główny sens rozważań nie budzi wątpliwości i zresztą ma już swoje wcześniejsze odniesienia, także w kręgu publikacji informatologicznych³.

Botsman uważa, że kryzys zaufania w publicznym obiegu opinii zintensyfikował się spektakularnie i w globalnej skali, w 2008 r. (dopowiem: po krachu finansowym w następstwie rujnacji kredytów hipotecznych). Jednak mniejsza lub większa nieufność istniała od dawna. Tyle, że ówczesna eksplozja nieufności była wyjątkowo rozległa. Ujawniło się, że mediom prasowym oraz audiowizualnym, jak również władzom, nie ufa aż 82% społeczeństwa. A bez zaufania skutecznie funkcjonować nie można...

Ciekawe jednak, że znacznie wyższą wiarygodność przypisuje się Internetowi, zwłaszcza komunikatom zautomatyzowanym, czyli – jak powiada autorka – algorytmom. W czym nie ma do końca racji, bo przecież te algorytmy w pierwszej fazie wprowadzają ludzi i to oni, już na tym etapie, mają manipulatorską wszechwładzę.

W każdym razie ostrzeżenie przed algorytmami jest trafne: ich obiektywna wiarygodność to tylko legenda. Bo też w kontekście zaufania cała sytuacja w komunikacji publicznej nie jest jednoznaczna. Nadawca przecież zawsze wie więcej na inicjowany temat aniżeli odbiorca, ale tego nie ujawnia.

Zresztą wątpliwe, czy ewentualne ujawnianie poszerzone wzmogłoby odbiorczą ostrożność. Społeczeństwo nie dystansuje się przecież od Internetu, mimo że dostrzega tam *fake news*. Oraz (być może nie wszyscy) istnienie czegoś takiego jak *darknet*. No i co? No i nic. Autorski niepokój wobec tej formy zniewalania – a właściwie zniewalania się – umysłów nie jest oczywiście wyrażony po raz pierwszy, ale ma szereg uaktualnień i został po nowemu uzasadniony.

A czym, w gruncie rzeczy, zaufanie jest? Według autorki: oczekiwaniem, że zostanie spełniona rozbudowana nadzieja, a więc kombinacja nastawień na powodzenie, razem z ryzykiem i obawami. Albo – pomostem pomiędzy znanym oraz nieznanym.

Zaufanie jest w znacznym stopniu spersonalizowane. Ludzie najczęściej ufają konkretnym osobom, zwłaszcza możliwie podobnym do nich samym. Z tego zaś wywodzi się generalizacja – przeniesienie zaufania na reprezentowane (przez te jednostki) grupy osób oraz instytucje. Obecnie ma to również miejsce za sprawą komunikacyjnej technologii.

Naruszenie wiarygodności niweluje zaufanie na wiele lat, a zdarza się nawet, że na zawsze. Psujące bywa zwłaszcza odkrycie, że wyobrażana neutralność i obiektywizm transmitera nie odpowiada prawdzie. Ostatnimi laty wywołuje szok ujawnienie, że tak niby neutralny Facebook, w rzeczywistości także podlega kontroli. Bo wówczas pojawia się dramatyczne pytanie: kto i co wobec tego nie poddaje się kierunkującej manipulacji.

Ufa się przede wszystkim osobom: znajomym – ale również z widzenia, ze słyszenia, z wielorakiej prezentacji w mediach, czyli w jakiś sposób rozpoznawalnym, a także tym, których można spotkać ponownie. Jakkolwiek są opinie, że takie własne grono znajomych (rozpoznawalnych) nie może być liczniejsze niż 150 osób, więcej bowiem mózg nie potrafi podobno zidentyfikować.

³ K. Buzová: *Modely a aspekty kredibility sociálnych médií*. „Knižničná a informačná veda”, T. XXV. Bratislava: Univerzita Komenského v Bratislave, 2014, s. 9-24.

W tym zakresie ma miejsce mechanizm łańcuchowy: wiarygodność ulega przeniesieniu z osób znanych na ich znanych. Oczywiście więc, w tych okolicznościach intensyfikuje się zagrożenie pomyłką, bo wszak nie istnieje żadna forma weryfikacji. Do zaufania skłaniają tylko skojarzenia oraz oznaki.

Oto bowiem osoby są często tylko *reprezentowane*. Przez rozmaite umowne symbole, rozpoznawalne nazwiska, nazwy (marki) firm i instytucji, nawet uniformy. Bo na zaufanie, mimo ostrożności, istnieje zapotrzebowanie. Wierzy się sygnałom dlatego, że chce się im wierzyć. Tak to działa też wobec świeżo poznanych osób. Wiarygodny wydaje się każdy, kto jest uprzejmy, przyjazny i błyskotliwy. Dlatego takich kandydatów właśnie angażuje się na rzeczników, agentów lub propagatorów. Oraz – należałoby przynajmniej teoretycznie – bibliotekarzy: do pracy na stanowiskach stykowych z publicznością.

Zaufanie konstituuje się odrębnie wobec pomysłu, inaczej do oferenta, osobno do realizatora. Jakkolwiek są też częściowe podobieństwa reakcji, zachowań i postaw.

Ludzie chcą mianowicie wiedzieć, jaki jest pożytek z oferty, ewentualnie nowatorskiej: jaką im przyniesie korzyść. Na ogół nieufnie traktują całkowite nowości ofertowe, dopóki te nie utrwala się w praktyce oraz w świadomości. Preferują zaś propozycje nieco odmienne: kiedy zachowują się relacje wobec tego, co już znają, bądź sądzą, że znają. Nadmierne epatowanie nowinkarstwem wywołuje sprzeciw.

Proszę zauważyć, że w naszej obecnej praktyce publiczność źle reaguje na – niepotrzebnie forsowaną – nazwę *mediateka*. Nikt tak nie mówi! Oraz mało kto entuzjazmuje się biblioteczną technologią jako taką. Wystarczy, że może (nie tylko z niej) korzystać. Nikt przecież nie wpada w zachwyt nad widelcem: po prostu nim je.

Botsman alarmuje, że zaufanie do zautomatyzowanych systemów komunikacyjnych, czyli pozornie do robotów i algorytmów, jest zdecydowanie nadmierne, naiwne i bezzasadne. No bo przecież nie powstały same z siebie, ale zostały skonstruowane przez ludzi i podlegają ludzkiej manipulacji. Szczególnie w następstwie powiązania w systemy, kiedy liczba decydentów rozrasta się, zostają zamienione w potężne scentralizowane narzędzia, opanowane przez rozmaite władze i przez różnych wielkich graczy. Są zaś wykorzystywane do nadzoru, do stałej inwigilacji kogo się da, a więc w konsekwencji: do regulowania życia. Naszego!

W odniesieniu do rzeczywistości bieżącej, autorskie przestrogi mają mniejszy lub większy sens, chociaż nie przesadzałbym z ich skutecznością, pomimo rozgłosu. Kiedy jednak Botsman bierze się za opowieści o sztucznej inteligencji i nawija o wyemancypowaniu się robotów oraz o przejęciu przez maszyny władzy nad światem w sensie dosłownym, to już serwuje dyrdymały. Najwybitniejsi znawcy problematyki AI jednoznacznie temu zaprzeczają⁴. To są bajeczki dla naiwnych.

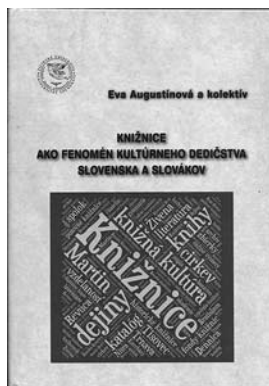
Niewątpliwie natomiast komunikację publiczną, a w rezultacie również całą egzystencję, nadgryza wirus niewiarygodności. Istnieje więc ewidentna potrzeba znalezienia sposobów zaradczych.

⁴ M. A. Boden: *AI. Its Nature and Future*. Oxford: Oxford University Press, 2016; Nick Bostrom: *Superintelligence. Paths, Dangers, Strategies*. Oxford: Oxford University Press, 2016; Jennifer M. Gidley: *The Future. A Very Short Introduction*. Oxford: Oxford University Press, 2017.

Czy biblioteki nadawałyby się na instytucje sprzyjające publicznemu zaufaniu? Teoretycznie tak. Ale moim zdaniem, nie ma na to najmniejszych szans.

Ktoś bowiem nimi zarządza oraz ktoś je utrzymuje. Dlaczego miałyby zrezygnować z nadzoru i z korzystnej dla siebie manipulacji? Poza tym żaden bibliotekarz jeden ani żadna jedna biblioteka nie jest alfą i omegą w zakresie uwiarygodniania. Dla wiarygodnościowych weryfikacji transmitowanych treści zachodzi więc potrzeba połączenia się bibliotek w systemy. Ale wtedy liczba chętnych do manipulacji, oraz możliwości po temu, radykalnie wzrasta.

Sami sobie opowiadamy, że w wymiarze lokalnym bądź instytucjonalnym (uczelnianym, szkolnym) biblioteki mogą gwarantować informacyjną wiarygodność. Ale i w takich okolicznościach ktoś te biblioteki przecież utrzymuje, ktoś za nie płaci i ktoś nimi zarządza. Oraz kręcą się wokół nich wpływowe grupy interesów. Zatem na stuprocentowe zaufanie szans też tam nie ma. Niestety.



Z DZIEJÓW BIBLIOTEK SŁOWACKICH [**]

Eva Augustínová a kolektiv: *Knihnice ako fenomén kultúrneho dedičstva Slovenska a Slovákov*. Žilina: Žilinska univerzita; EDIS, 2017, 350 s. ISBN 978-80-554-1331-0.

Zespół pracowników Katedry Medioznawstwa i Dziedzictwa Kulturalnego uniwersytetu w Żilinie zaprezentował w zbiorowej publikacji dzieje słowackich bibliotek i jak zaznaczono, jest to opracowanie pionierskie. Trzeba jednak dopowiedzieć, że niekompletne, bo doprowadzone do 1918 r., czyli do momentu powstania Czechosłowacji. Oczywiście, każdy może wybrać sobie do analizy dowolny okres dziejów, jednak wolałbym żeby to było wyraźnie zasygnalizowane – przynajmniej we wstępie, a nie jest.

Intencje tego przedsięwzięcia zasługują na uznanie, natomiast realizację uważam za wyjątkowo nieporadną: pełną luk, niekonsekwencji, oraz dziwaczności. Poczynając już od okładki, gdzie autorstwo określono jako *Eva Augustínová z zespołem*.

W ciągu kilkadziesiąt lat czytania tekstów naukowych w kilku językach, jeszcze takiego *oznakowania* nie spotkałem; to jest przecież po prostu tom wieloautorski, zbiorowy. Widocznie dr Augustínová bardzo mocno zabiegała o miejsce dla siebie na okładce właśnie, zaś jako szefowa Katedry miała zwiększoną siłę przebicia. Megalomania do trzeciej potęgi! A że to śmieszne? No cóż: nie każdego śmieszy to samo.

Dziwactwem jest również wmontowanie w ten tom opowieści o księgozbiorach austriackiej oraz czeskiej szlachty, jak również węgierskiej rodziny Esterházy. Miało być o księgozbiórach słowackich, o których i tak nie wszystko przecież napisano. Dodatki niczego do wizerunku nie wnoszą, a niepotrzebnie zwiększają objętość książki.

Całkowicie zbędny jest również finalny szkic o tym, że niektóre archiwalne zasoby biblioteczne zostały częściowo zdigitalizowane, zatem można je wykorzystać do konstrukcji wystaw, jako cyfrowe wsparcie. Po czym następuje infantylny

wykład niby metodologiczny, jak takie wystawy realizować. Nie da się zgadnąć, co to tu robi. To kompletny nonsens.

Jednak główną słabość książki stanowi superdetalizacja. Zostały tam dramatycznie namnożone szczegóły i szczegółiki opisowe, nie dosyć że woluntarystycznie dobrane, to w takiej skali niemożliwe do ogarnięcia, do zapamiętania ani do ułożenia w jakąś spójną całość relacyjną. Brakuje uogólniającej syntezy, całościowej wykładni, oraz ostatecznego wniosku. Jak też nawiązania do europejskiej cywilizacji; w końcu sprawozdanie przecież nie dotyczy bibliotekarstwa na Fidżi.

W sumie ten tom wygląda raczej na fragmentaryczny katalog, na rejestr tak czy inaczej pozbieranych zdarzeń. To jest raczej pół-kronika, lub nawet semi-kalendarz, mocno zresztą niekompletny i nie mniej sądzić, czy użyteczny. Zwłaszcza że w natłoku rozmaitych detali, takiej Bratysławy (to w końcu największe miasto tam), albo Maticy słowenskiej, jakby w ogóle nie było. Co to za opracowanie?

Konkluzje trzeba więc dopisać samemu. Oto niewielki naród Słowaków, za sprawą zachowanego języka a także piśmiennictwa oraz tworzonych w ciągu stuleci bibliotek i w końcu wywalczenia narodowego szkolnictwa, zdołał zachować własną tożsamość a potem wybić się na niepodległość. Było zaś Słowakom jeszcze trudniej niż innym, w niekoniecznie spolegliwym otoczeniu Austriaków, Niemców, Czechów, Węgrów, Polaków, Ukraińców, Rosjan i jeszcze Rumunów. W sumie przecież: udało się – jak widać. Tyle, że z tej książki nie wynika to dostatecznie jasno.

Jak w całej tej części Europy, również tam pierwsze (z wyjątkami) były biblioteki klasztorne oraz kościelne, instalowane od XII w. przez benedyktynów, dominikanów, franciszkanów, jezuitów i paulinów. Znacznie później pojawiły się biblioteki parafii ewangelickich.

Od połowy XV w. zaczęły na tych obszarach powstawać uniwersytety z bibliotekami, a w XVII stuleciu liczne biblioteki szkolne. Z tym, że najwcześniejsze ślady bibliotek szkolnych udało się zlokalizować już w 996 r. Zaś w wieku XVI zaczęły powstawać również biblioteki cechowe. W książce opisuje się jeszcze rozmaite księgozbiory prywatne – przesadnie nazywane bibliotekami – oraz w nadmiarze i zbyt szczegółowo prezentowane (no bo to nietrudne?). Tymczasem to jest jednak inne zjawisko.

W książce dużo miejsca oraz ilustracji poświęcono Bańskiej Szczawnicy i tamtejszym bibliotekom w przeszłości. Księgozbiory bańskoszczawnickich gimnazjów, ewangelickiego (od XVI w.) i katolickiego (od XVIII w.) były podobno ogólnodostępne, ale szczegółów na ten temat brak. Jak to wyglądało? W wieku XVIII powołano tam kilkudyscyplinarną Akademię, z własną biblioteką oraz oficyną wydawniczą, która publikowała podręczniki z różnych zakresów. W 1918 r. Bańska Szczawnica znalazła się na obszarze Węgier.

Przełomowe znaczenie dla Słowaków miał 1848 rok. Reżim cesarski zdecydował się wtedy na niejaką liberalizację – częściową i tymczasową. W 1861 r. ogłoszono w Martinie Memorandum Narodu Słowackiego. Zostały powołane gimnazja, z językiem słowackim i z bibliotekami.

W Rewuczy od 1862 r. maturalne (przetrwało 12 lat), a w Martinie od 1867 r., oraz w Klasztorze pod Znievom od 1869 r. (zlikwidowane po protestach Węgrów) czteroletnie. W sumie powstało ich 27 (z bibliotekami), w tekście nie ma jednak informacji, ile przetrwało, ani jak długo. Reżim cesarski – w Krakowie i w całej

Galicji określany jako liberalny – dawkował ten liberalizm po aptekarsku i bynajmniej nie był tak spolegliwy, jak się opowiada. W sumie przecież nie wszystkie wielonarodowe układy zostały następnie przez Franciszka Józefa anulowane.

W książce przywołano też ciekawostkę. Oto w 1869 r. powstało Stowarzyszenie Kobiet Słowackich – główna siedziba: Turczanski sv. Martin – wydające książki oraz czasopisma. Podobno utrzymywało też bibliotekę, ale bez rejestracji formalnej. Wydane książki (część?) zostały w tekście spisane na 14 stronach. Po co?

Nie ma wątpliwości, że 1848 rok także dla Słowaków przyniósł narodowy przełom, przynajmniej świadomościowy. Odtąd trwale ożywiła się słowacka działalność oświatowa oraz kulturalna. Potem zaś w stopniu wzmożonym zaczęły powstawać biblioteki publiczne (ludowe), na ogół odpłatne, często przekształcane z bibliotek szkolnych.

Tuż przed I wojną światową na terenach (w zasadzie) dzisiejszej Słowacji funkcjonowały 1532 różne biblioteki publiczne. Nie było ich tylko w pięciu regionach, lecz nie napisano wyraźnie, w jakich.

Na inną, lepszą słowacką monografię okołobiblioteczną tego okresu zapewne trudno liczyć. A jeszcze bardziej przydałoby się – lecz ciekawsze i rozumniejsze – opracowanie losów bibliotek słowackich w Czechosłowacji: w okresie międzywojennym oraz po II wojnie światowej. A także w Republice Słowackiej ks. dra Jozefa Tiso. Bo wprawdzie osoba dyktatora to postać haniebna (przede wszystkim za sprawą eksterminacji Żydów), jakkolwiek po części także tragiczna, to jednak w latach 1939-1945 Słowacja przeżywała okres rozwoju kulturalnego, edukacyjnego, a nawet ekonomicznego. Możliwie obiektywna prezentacja ówczesnych bibliotek tamtejszych mogłaby zatem być interesująca. No i jeszcze przydałoby się syntetyczna ocena sytuacji bibliotek słowackich po eleganckim rozwodzie z Czechami.



KSIAŻKA W EDUKACJI JĘZYKOWEJ [**]

Учебная книга в системе филологического образования.
Red. S. Nikolajenko. Witebsk: Witebskij Gosudarstwiennyj Uniwersitet im. P. M. Maszerowa, 2018, 125 s. ISBN 978-985-517-655-9.

Wybrałem tę książkę do omówienia z kilku powodów – mając świadomość, że może być jakościowo kiepska. Mianowicie w dobie euforycznej fascynacji internetem, także w obszarze edukacji, pojawił się oto zbiór wypowiedzi na temat książki drukowanej jako narzędzia w kształceniu językowym: lingwistycznym oraz literackim, rodzimym i obcym. Trudno więc było oprzeć się chęci rzucenia okiem.

Zaciekawienie budzi też autorsko-wydawniczy inicjator publikacji. To uniwersytet w Witebsku, więc wprawdzie u naszych sąsiadów, ale zlokalizowany dość daleko, bowiem w pobliżu granicy z Rosją; doniesień stamtąd właściwie u nas nie ma. Ostatnie wygłosił p. Zagłoba? Samo miasto jest nieco większe od Bydgoszczy, zaś dziesięciowydziałowy uniwersytet kształci tam ok. 2500 studentów. Sens ma więc także pytanie, jaki to jest poziom.

Gdyby oceniać według tego tomu, to rewelacji nie ma. Unikając eufemizmów powiem, że całość jest kiepska. Ale znalazłem też kilka wypowiedzi interesujących – wartych odtworzenia. Większość autorów to pracownicy witebskiego uniwersytetu; są też osoby z innych białoruskich uczelni, a także nauczyciele gimnazjalni.

Lingwistyczny motyw tej publikacji wywołuje poza tym refleksję nad, właśnie językowym, dramatem Białorusi. Własny język etniczny jest zwykle lepszemu narodu, ale tam są akurat pod tym względem istotne komplikacje. Przez dziesiątki lat bowiem dominował język rosyjski, a białoruski był mową gminu i nawet uchodził za obciach. Tylko najświetlejsi Białorusini zabiegali o reanimację tej mowy. Światowego formatu prozaik Wasil Bykau (już nie żyje) pisywał swoje znakomite mikropowieści w dwóch językach – po rosyjsku i po białorusku. Powiedział mi kiedyś: *taka jest konieczność*.

Zaraz po uzyskaniu niepodległości uznano białoruski za jedyny tam język urzędowy. Ale później, pod presją sąsiadów, został dodany również drugi: rosyjski. Skutki są niedobre.

Książka, którą tu sygnalizuję, jest w ogólności rosyjskojęzyczna. Na 32 teksty w sumie, tylko trzy zostały napisane po białorusku – akurat zresztą interesujące. Ale w tym świetle, taka praktyka językowa wydaje się niepokojąca. Jak ma bowiem przetrwać naród, który nie szanuje własnej mowy? A przecież tak właśnie jest.

Tom inauguruje rosyjskojęzyczny tekst Leonida Wardomackiego (uniwersytet w Witebsku) – znakomity, jakkolwiek trochę na siłę doklejony do tematu – o podręczniku gramatyki Melentija Smotrickiego z 1618 r. To było pierwsze naukowe, wchodniosłowiańskie opracowanie językowe, razem z (też pierwszym) leksykonem, napisane cyrylicą. Pojawiło się w okresie intensywnego konfliktu pomiędzy prawosławnymi oraz unitami, a przy tym w kontekście dominacji języków urzędowych: polskiego oraz łaciny. Miało zatem również szczególne znaczenie polityczne.

Wcześniej za instruktywne dla miejscowego języka uchodziły psalterze. Smotricki zawarł uwagi o częściach mowy i wprowadził do tamtejszego obiegu piśmennego średnik oraz dwukropek. W ten sposób narodziła się naukowa filologia wschodniosłowiańska.

Z kolei wśród roztrząsań aktualnych wyróżnia się opinia Iriny Kuźminy (też po rosyjsku – także uniwersytet w Witebsku) o współfunkcjonowaniu drukowanych i elektronicznych materiałów do nauki języków obcych. Podkreśla mianowicie potrzebę sieciowego, elektronicznego dopełnienia podręczników drukowanych, bo to ułatwia indywidualne uczenie się w domu, aktywizuje poprzez zwrotny rejestr zadań i testów, a ponadto umożliwia dostęp do oryginalnych przekazów obcojęzycznych: siłą rzeczy autentycznych i aktualnych. To działa. Jakkolwiek pozostaje poza nauczycielską kontrolą bezpośrednią – przynajmniej tak ta autorka uważa. W konkluzji zaś sugeruje kompleksowy model kształcenia lingwistycznego: żywe lekcje + podręczniki drukowane + wybrane materiały w sieci.

Potwierdza to (też po rosyjsku) Aleksandra Cejeb, nauczycielka gimnazjalna z Połocka, podkreślając pożytki z internetowej kontynuacji w domu, tego co zostało zapoczątkowane na lekcjach. Poza tym dostrzega szanse nawiązywania kon-

taktów przez sieć z uczniami zagranicznymi – w czym zapewne mogłyby pomagać biblioteki szkolne, lecz takiej sugestii w tekście nie ma. Jest natomiast jeszcze podpowiedź, żeby wykorzystywać w internecie obcojęzyczne gry elektroniczne, bo to świetny materiał dla wzbogacania słownictwa.

Podtrzymując zachętę do wiązania lekcyjnej nauki języków obcych z podręcznikową oraz internetową, Olga Kazimirowa (uniwersytet w Witebsku; po rosyjsku) jest jednak zdania, że aktualne podręczniki językowe na Białorusi nie nadają się do tego zupełnie. Po prostu nie są nastawione na jakiekolwiek dopełnianie, zwłaszcza digitalne, toteż postulaty metodologicznych zmian w kształceniu językowym trafiają w próżnię. Być może nie tylko na Białorusi.

Najświeższe tamtejsze innowacje w tym zakresie sygnalizuje Ludmiła Galczenko (również z uniwersytetu w Witebsku i też po rosyjsku). Otóż pojawiły się jednak nowe podręczniki do języka rosyjskiego oraz do białoruskiego (który dla kogo jest obcy?), z kontynuacyjnymi powiązaniem w sieci. W internecie pomieszczono zadania do rozwiązywania oraz wskazówki metodyczne dla uczniów. Lecz żeby nie było za dobrze: jej zdaniem, są zbyt obszerne i zawierają nadmiar rzadko używanych słów.

Zastanawiające i smutne, że do sytuacji języka białoruskiego w szkole, nazywając rzeczy po imieniu, odniosła się bezpośrednio – tym razem po białorusku – właściwie tylko jedna osoba: gimnazjalna nauczycielka z Witebska Wołga Ziaziulkina. Pisząc wprost, że rodzimy język to przecież duch narodu i z tego powodu powinien być opanowany oraz kompetencyjnie udoskonalony właśnie w szkole. Wymaga to powiązania nauki lingwistycznej z konkretną tematyką narodową – z wykorzystaniem materiałów folklorystycznych i historycznych, bo takie akurat są dostępne, a inne już niekoniecznie.

Postawa tej autorki zasługuje na głęboki szacunek. Na nic podobnego nie zdobyły się inne osoby, niby to uczone – choćby nawet przez edycję tego tomu w języku białoruskim.

W całej książce mówi się głównie o praktyce językowej, ale są również opinie o kształtowaniu wiedzy literackiej. Jest sygnał, że w odniesieniu do literatury białoruskiej dramatycznie brakuje kompetentnego i nowoczesnego podręcznika, dopełnionego przez internet o białoruskie materiały tekstowe. Pisze o tym (po białorusku) Aleś Makarewicz z uniwersytetu w Mohylewie, postulując zainicjowanie i sfinansowanie takiego zadania przez resort oświaty. W którym ktoś takie publikacje czytuje?

Szerzej zaś do nauczania literatury – rosyjskiej, białoruskiej, a także światowej – w tamtejszych szkołach nawiązuje Ludmiła Szewcowa (uniwersytet w Witebsku; po rosyjsku). Przyjmując za cel takiej edukacji, tworzy odbiór tekstów literackich, a więc refleksyjny, pobudzający wyobraźnię i emocjonalny – uważa, że stosownych podręczników szkolnych na Białorusi po prostu nie ma. Trzeba je dopiero stworzyć – i oczywiście: w powiązanej wersji pisemno-digitalnej.

Tak, żeby na rozmaite sposoby lansowały różne zadania aktywizujące. Mianowicie skojarzenia problemowe, dopowiedzenia fabularne, poszerzone prezentacje literackich postaci fikcyjnych, a nawet: samodzielne literackie projekty autorskie oraz/lub próby przekładów z języków obcych na białoruski albo odwrotnie. To rzeczywiście może mieć sens, chociaż jest do wprowadzenia trudne. Bo, na dobrą sprawę, literatury uczyć w takim trybie mało gdzie.

Jeżeli w ogóle.

Wypowiedzi, które tu zasygnalizowałem, odnoszą się do edukacji językowej w sposób niebanalny. Lansując hybrydowe rozwiązania piśmienniczo-digitalne. Ale w całym tomie to jest zdecydowana mniejszość tekstów. Reszta w ogóle nie powinna była zakwalifikować się do druku. Stąd niewygórowana ocena całości.



BZDETOLOGIA [*]

Ewgenija Kijanicja: *Zwiazki bibliotek z gromadskistju w socjokulturnom prostori regionu*. Kijiw: Wydawnictwo Lira-K, 2018, 180 s. ISBN 978-617-7605-15-6.

Pomimo wojny domowej, utraty Krymu, ekonomicznych niedostatków i wielu innych kryzysów, nauka na Ukrainie próbuje dotrzymać kroku standardom światowym. Z różnym i zmiennym efektem. Wyraźnie poszkodowane są naukowe czasopisma, uczelniane biblioteki z trudem gromadzą co trzeba, za to niewątpliwym osiągnięciem jest publikowanie w języku ukraińskim, bo dawniej zdarzało się to nieczęsto.

Również w obszarze bibliotekoznawstwa oraz informacji naukowej pojawiają się tam świeże publikacje książkowe – niektóre ciekawe i na godziwym poziomie merytorycznym. Co czasami tutaj sygnalizuję. Ale niestabilne okoliczności nie są sprzymierzeńcem jakości, toteż mizerie zdarzają się tam również. No i tym razem przedstawiam właśnie taki superknot. W intencji, żeby także w tych naszych dyscyplinach – tak jak we wszystkich – nie tolerować dyrdymałów. Wszystko jedno, u nas, czy nie u nas.

Oto publikacja, której tytuł mógłby sugerować analizę środowiskowych relacji bibliotek publicznych, ostatnio budzących wzmożone zainteresowanie. Niestety – nic z tych rzeczy! Jest tam tylko teoretyczne wyliczanie wybranych, elementarnych i przestarzałych, reguł *public relations* i to z odniesieniem głównie do komercji (przywołane piśmiennictwo anglojęzyczne też jest archaiczne) oraz z bardzo naiwnym spisem porównawczym niektórych, też elementarnych, form pracy z użytkownikiem. Na tyle sędziwych, że jest tam mowa nawet o głośnym czytaniu. Powagi naukowej ma dodawać, powtarzany nieomal na każdej stronie, slogan *socjokulturnoje*. Całość literalnie przystaje do dawnych reguł obowiązujących w humanistycznych oraz społecznych naukach sowieckich, gdzie istotę stanowiło nadanie czemuś nazwy i późniejsze nią żonglowanie.

Ewgenija Kijanicja jest kandydatem nauk (po naszymu: doktorem) w Państwowym Uniwersytecie Handlowo-Ekonomicznym w Kijowie. Pracuje w Katedrze Marketingu i Reklamy, zatem pisuje o *piarze* (PR) – ale komercyjnym, o którym zapewne coś wie. Natomiast o bibliotekach i o bibliotekarstwie uprzednio najwyższej słyszała, że coś takiego jest.

Kiedy więc przyszło zerknąć na nie mniej lub bardziej bezpośrednio, pojawiło się zdumienie, ewentualnie odkrywcze na widok każdego drobiazgu. I tak powstał opis rozmaitych detali oraz detalików, jak na lekcji bibliotecznnej dla uczniów wczesnych klas podstawowych. Swoją drogą, to jest ilustracja, jak biblio-

tekarstwo oraz bibliotekoznawstwo postrzegają osoby z innych dyscyplin nauki. Wcale nie tak rzadko i nie tylko na Ukrainie.

Jest zresztą jeszcze gorzej. Z kontekstu bowiem wynika, że książka jest rozprawą doktorską (po naszymu: habilitacyjną), akceptowaną przez szereg utytułowanych osób. Otóż wszystkie powinny dać sobie spokój z nauką.

Pani Kijanicja na potrzeby tej publikacji rozesała jakieś ankiety do regionalnych (po naszymu: wojewódzkich) bibliotek publicznych, nazywanych naukowymi. Oczywiście bez Krymu, no i nie wszystkie odpowiedziały, ale to akurat nie ma większego znaczenia. Natomiast trudno zgadnąć, co z tej ankiety miałyby wynikać, poza detalicznym, całkowicie nieczytelnym opisem kilku takich bibliotek. Ewentualnie ilustracyjna jest łączna liczba tamtejszych bibliotek publicznych, bo ponad 16 000, czyli dwukrotnie większa niż u nas. Byłoby więc o czym rozmawiać, ale pod warunkiem, że rzeczowo.

Autorka uważa, że biblioteki publiczne na Ukrainie tworzą system informacyjny. Moim zdaniem to nieprawda, bo rzeczywistego systemu nie tworzą nigdzie, ale też trzeba koniecznie wiedzieć, co to właściwie jest system. Takiej wiedzy tam nie dostrzegam. Ponadto jest w książce wzmianka o bibliotecznej działalności kulturalno-oświatowej (tak to nazywaliśmy w latach 50.), o kierowaniu czytelnictwem (to również zwrot sprzed 40 lat), oraz o potrzebie nowego skonkretyzowania misji biblioteki. Dlaczego, jak też jakiego – nie wiadomo. No i dobrze: wolałbym żeby akurat tego autorka nie robiła.

W chaotycznej referencji szczegółowej pojawiło się kilka sloganów o informacyjnej obsłudze, o personelu (same dyrdymały ale napuszone) oraz o katalogach tradycyjnych i elektronicznych. Jest też kilka słów o internetyzacji bibliotek. O jej użyteczności ma świadczyć przywołany przykład; oto biblioteka może udostępnić publiczności sieciowy portal *Zapytaj władzę*. A bez bibliotek to nie pofunkcjonuje? Skoro jest w sieci...

Z ankiet miałyby także wynikać, że zainteresowanie publiczności bibliotekami ulega wzmoczeniu za sprawą informacji regionalnej, oraz... oferty usług odpłatnych(?). Tymczasem w innym miejscu autorka napisała, nie bez racji, że darmowy charakter usług bibliotecznych to ich fundamentalna zaleta. No to jak? Do tego wszystkiego został dodany wyrwykowy opis funkcjonowania niektórych bibliotek w USA i w Niemczech, przejęty z materiałów anglojęzycznych.

Nieco mniej wątpliwości budzą przywołane reguły *piar*u, razem z próbą kategoryzacji PR. Ale prezentacja jest ogólnikowa – to i owo zostało ponazywane – i powiązana tylko z praktyką komercyjną. Tymczasem we wstępnej charakterystyce bibliotek jest wzmianka, że są akurat niekomercyjne. W sumie więc, to jest czcza gadanina.

Autorski wniosek ogólny jest taki, że konieczne są dialektyczne (?! – nie słyszałem tego sformułowania już przeszło pół wieku) relacje pomiędzy biblioteką i otoczeniem. Ale nic konkretniejszego nie widać. Nie ma nawet rozróżnienia pomiędzy relacjami bezpośrednimi a sieciowymi. Zaś jako modelowe autorka podpowiada rozwiązania amerykańskie i zachodnioeuropejskie. Bez identyfikacji – które.

Nie da się ukryć, że ta nasza bibliotekoznawcza (informatologiczna jeszcze bardziej) dyscyplina naukowa przeżywa obecnie trudne chwile: jest w opałach. Ostatecznie może dać sobie radę, ale pod warunkiem, że sami o to zadbamy.

Oferując publikacje i opinie rzeczywiście produktywne oraz refleksyjne, a nie tylko nastawione na odfajkowanie i punktozę. A także odtrącając tych wszystkich pseudonaukowych nieudaczników, którzy nie radząc sobie u siebie, próbują szczęścia na bibliotekoznawczym rzekomo ugorze. Bo tak im się ubzdurało.

Jacek Wojciechowski

Tekst wpłynął do Redakcji 17 stycznia 2019 r.